



## PREZENTACJE

### Helena Kardasz

Wystawa Heleny Kardasz *non\_ens.net* odbyła się w Galerii Nowy Wiek, Muzeum Ziemi Lubuskiej. Czas trwania projektu: październik-grudzień 2006 r.

Studia w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej WSP w Zielonej Górze w latach 1992 - 1996  
Dyplom w Pracowni Fotografii prof. Piotra Wołyńskiego. Od 1996 roku pracuje w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej Uniwersytetu Zielonogórskiego - obecnie Katedra SiKP. W 2002 uzyskała I stopień kwalifikacji artystycznej w dyscyplinie Fotografia na Wydziale Komunikacji Multimedialnej Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Stypendium twórcze Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze w latach 1996 i 2000. Nagroda J. M. Rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego w 2002 r. Udział w Międzynarodowym Sympozjum Fotografii Profile w latach 1996 - 2004. Współorganizator działalności Galerii PWW w Zielonej Górze w latach 2000 - 2003. Od 2003 opiekun Koła Naukowego PWW - działalność wystawieni-cza Galerii PWW przy Wrocławskiej 7 w Zielonej Górze. Zajmuje się głównie instalacją, obiektem i fotografią. Wystawy indywidualne i udział w prezentacjach zbiorowych w Polsce i za granicą.

## Pomiędzy białym a zielonym. Non\_ens.net Heleny Kardasz

Na prezentowany w Galerii Nowy Wiek zielonogórskiego Muzeum nowy projekt Heleny Kardasz składają się dwa pomieszczenia. Odmiennie zaaranżowane, prezentują specyficzny dualizm ludzkiego świata – intymną, senną przestrzeń nocną i namacalną, uwikłaną w innych przestrzeń dnia. Tyle że do tego, dość konwencjonalnego podziału dochodzi jeszcze nie-przestrzeń – jak pisze sama Kardasz – brak bytu bądź dziura w rzeczywistości – cyberprzestrzeń. Dziura, która jednak bynajmniej nie oznacza nie-bycia.

Nie po raz pierwszy artystka porusza problem ukazania czasu, przestrzeni i światła ujmowanych z perspektywy filozoficznej raczej, niż fizycznej. Zarówno w jednej z najwcześniejszych instalacji, *Ikononoemacie*, jak i w późniejszej *Ziarnistości czy Innych Czasach*, Kardasz porusza się po cienkiej linii dzielącej rzeczywistość od metarzeczywistości. Realizuje swoją fascynację napięciem jakie rodzi się pomiędzy potocznym odbiorem świata rozbitego na zdarzenia a trwaniem pojmowanym jako całość. W swojej ostatniej pracy prezentowanej, artystka poszerza spektrum poprzednio stawianych problemów o wirtualny wymiar egzystencji człowieka – coraz bardziej obecną w naszym życiu przestrzeń symulowaną.

Sam tytuł wystawy - *non\_ens.net* – sugeruje z jednej strony rodzaj zabawy, gry słownej, beztróskiego sam na sam z komputerem, z drugiej przez inkorporację słowa *nonsens* wskazuje być może na niepotrzebną infantyлизację, jakiej podczas takiego sam na

sam ulegamy, na lekkość wirtualnego bytu, pozbawionego konkretnych wyborów. Sala biała, pierwsza dla oglądającego, sugeruje czas nocny przez projektowane na ścianę zdjęcie łóżka z równo ułożonymi dwiema poduszkami. Panuje tu półmrok, rozjaśniany bielą rzutowanej pościeli oraz maleńkimi lampkami zwieszającymi się z sufitu. Te ostatnie, zamknięte w metalowych tulejach, oświetlają punktowo umocowane na przeciągniętych od sufitu do podłogi metalowych linkach, białe poduszki. W centrum każdej takiej puchowej podkładki spoczywa dyskretna biała plakietka z niemal niewidocznym napisem. Lampki pogłębiają jeszcze wrażenie intymności sypialni, przestrzeni świeckiej sakralności świata prywatnego. Napisy na plakietkach, przypominające wizytówki na drzwiach, sugerują przynależność miejsca, przypisaną go do kogoś ale i jednocześnie brak obecności podmiotu.

Płaszczyzna rzutowanego obrazu służy jednocześnie jako tło-ekran dla toczącej się bezgłośnie czatowej konwersacji, luźnej i niezobowiązującej do niczego. Ową beztróską niedbałość zakłóca wyraźny rysunek pionowych kresek sugerujący jakąś przymusowość sytuacji, zamknięcie. Obraz rzutowany jest bowiem poprzez rytm napiętych stalowych linek, których cienie rozcinają go niczym kraty. Sytuację pewnego przymusu sugeruje również nazwa tej części ekspozycji, dyskretnie umieszczona na przypiętej linkami do ściany kolejnej poduszce, gdzie na kawałku białej, grawerowanej płytki możemy przeczytać *nonsenspeel*. Pojawia się tu coś

z bezradności człowieka wobec naskórko-  
wości świata. Przestrzeń nocna, będąca dla  
Kardasz przestrzenią wirtualną sugeruje  
zawieszenie jakiegokolwiek taktylności nie tylko  
przedmiotów ale i działań, które tu do  
niczego nie prowadzą, zawieszenie podwójne  
– poprzez świat wirtualny oraz świat  
oniryczny, właściwy sypialni. Na rzutowanym  
na ścianę łóżku, przekreślonym zarówno  
przez pionową kratę cieni linek jak i poziome  
linie płynącego komputerowego tekstu, leżą  
dwie poduszki. Ale nic poza tym nie sugeruje  
zakłócenia samotności sytuacji. Zarówno  
śnienie jak i udział w wirtualnym świecie  
wyłącza jednostkę z rzeczywistości materii,  
przenosząc ją w nową przestrzeń. Miejsce  
już nie objawienia tego świata a dowolnej ich  
konfiguracji.

W biel pierwszego pomieszczenia subtel-  
nie przenika zielone światło sąsiadującej  
z nim przestrzeni dziennej, nazwanej *olana-  
free*. Kardasz bawi się słowami sugerując  
przedimkiem *a* jakąś, jedną z wielu, wolność,  
być może jedynie wolność dopasowania się.  
Zniewolenie poprzez schematy sugeruje  
również zwieszające się z sufitu krzesło.  
Nieruchome, ponieważ przymocowują go do  
podłoża napięte, stalowe linki. Wrażenie  
skrępowania pogłębia film wyświetlany z rzut-  
nika na przeciwległą ścianę: rytmiczny ruch  
bujania się, ukazany poprzez obraz umyka-  
jącej to w przód to w tył trawy. Początkowo  
przypomina widok zapamiętany z huśtania  
się na huśtawce – obraz dziecięcej bez troski.  
Jednak jednostajna powtarzalność obrazu  
już po chwili burzy wrażenie bez troski, by  
w większym jeszcze stopniu niż unierucho-  
mione krzesło, unaocznić oglądającemu  
monotonię dziennej przestrzeni. W takim  
kontekście poprzednia sala jawić się może  
jako pigułka w sensie leku, ofiarowująca uwol-  
nienie od powtarzalności istnienia w stadzie.

Kardasz łągodzi wymowę monotonnej  
codzienności przez umieszczony na środku  
podłogi zielonego pokoju kwadrat trawy.  
Żywo, w każdym znaczeniu tego słowa,

uobecnia on rzeczywistość dotykającą, będąc  
jednocześnie transfiguracją twardego  
stąpania po ziemi. Ale obecność trawy sym-  
bolizuje również naturę w jej najbardziej  
niewinnym aspekcie. Instalacja Kardasz  
uświadamia nam wieczną tęsknotę za wol-  
nością, piękno mitu powrotu do natury,  
któremu chcielibyśmy ulec. Ukazuje również  
bogactwo dotykanej rzeczywistości, wciąż  
dostępne pomimo naszego uwikłania, zarówno  
w schematy dnia powszedniego jak i złudną  
wolność oferowaną przez irrealną przestrzeń  
białego pokoju.

Przestrzeń dzienna ofiarowuje jeszcze  
coś istotnego - daje nam stado, w całej jego  
namacalności. Przymus pojawiania się  
w świecie wspólnym wiąże się z potrzebą  
konstituowania świata zewnętrznego, której  
to konstytucji dokonać możemy właśnie  
poprzez potwierdzenie w innych. Hannah  
Arendt w swojej *Kondycji ludzkiej*, zwraca  
uwagę, że jedynie transfiguracja jednost-  
kowego tak aby pojawić się mogło w sferze  
publicznej, upewnia nas o realności świata  
i nas samych.<sup>1</sup> W zabiegu ukonstituowania  
siebie poprzez pojawienie się w świecie  
przekazujemy swoją intymność. Ona wraca  
do nas odbita od oczu innych ludzi, w których  
przeglądamy się jak w lustrach.

Cała sytuacja prezentowana w Galerii  
Nowy Wiek ma w sobie wielokrotnie eksplo-  
rowany przez Kardasz wątek sztuczności  
i naturalności, różnych rodzajów przestrzeni  
i jej postrzegania. Być może najbardziej oczy-  
wistym i jednocześnie najtrudniejszym do od-  
nalezienia przekazem artystki jest w wypadku  
*non\_ens.net* przestrzeń tworząca się  
pomiędzy dwoma pokojami – homeostatycz-  
na i dwubarwna, dzienne-nocna przestrzeń  
harmonijnego dopasowania i próbująca godzić  
oba światy. W wyróżnionym przez Eliadego  
podziale doświadczenia przestrzeni na zwykłą  
i uświęconą<sup>2</sup> byłyby to drzwi – obraz otwarcia  
– próg wskazujący na przerwanie przestrzeni  
oczywistej dla jakiegokolwiek, czy to intym-  
nego czy wspólnotowego porządku.

Helena Kardasz „Non\_ens.net”, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze - Galeria Nowy Wiek, X-XII 2006.

1 Hannah Arendt, *Kondycja ludzka*, przeł. Anna Łagodzka, wyd. Alatheia, Warszawa 2000, s. 56.

2 Mircea Eliade, *Sacrum, mit, historia*, przeł. A. Tatarkiewicz, PIW, Warszawa 1974, s. 49-82.

\* \* \*

Śnieg anemiczny, patrząc na liczne  
Place, ulice, twarze i czyny,  
Tracił powoli przytomność i, zimny,  
Cicho przechodniom padał pod nogi.

O świecie jego dusza reinkarnowała  
W wodzie strumieni i popędziła,  
Pełna przecucia rychłego spotkania  
Z niebem i tęczą, wiatrem, ptakami,  
Śmiechem, wierszami, łzami i życiem...

Ludzie zostali ci sami.

24.03.2006

\* \* \*

Szkoda że ten człowiek  
nigdy nikogo nie kochał,  
nie wie o istnieniu duszy,  
nie wierzy w Boga  
i ciągle narzeka.  
Szkoda, że nie można  
uszcześliwić kogoś,  
kto tak bardzo  
chce być nieszczęśliwym.

15.04.2006

# Oczekiwanie

Śnieg topniał. Kapało z dachów. Na gałęziach drzew zwisły srebrzyste krople wody. Ujadaly psy. Słońce kładło się nad wierzchołkami sosen. Miki, zabawny foksterier przyglądał się staremu, przeczuwając włóczęgę po lesie. Stary jednak poszedł sam. Minął ostatnie zabudowania, rozłożysty klon, który latem daje dużo cienia. Po obu stronach piaszczystej drogi, jesienią pełnej głębokich kolein i odległego światła (gdzie zachodzi słońce zabierając ze sobą coś, czego on nie u miał nazwać), rozciągały się pola obsiane ozimną. Patrzył na tę ziemię ludzkich marzeń, radości i smutków, zlaną potem, zacinaną batem – pod wiatr, pod dym z papierosa. Przywykł do niej jak wszyscy ludzie we wsi i nijak by mu było bez niej.

Szedł. Droga opadała w wąwóz, gdzie w deszczach wiosennych i w ślocie jesieni przez cienką warstwę żwiru przebiegała tłusta glina. Ciężko było ją dźwigać razem z butami. Nagle zdziwiony... Przystanął. Przed nim w szczerym polu czerniało cielsko dzika. Pojedynczak najspokojniej w świecie rył kartoflisko, wygrzebując zmarznięte ziemniaki. Stary miał go z wiatrem. Pochylony zbliżał się do niego. Odyniec zwietrzył jednak zapach, podniósł łeb, fuknął i ruszył przez dolinę, przygarbiony z nastroszoną szczecią na karczysku. Tam, gdzie droga sprężyła się z lasem, obejrzał się i przesadził ważył śniegu. Zniknął w labiryncie drzew.

Stary minął dolinę. Przez dobrą godzinę kluczył w gęstwinie drzew, odchodzących płaskim wzgórzem na wschód do wysokich traw sosnowego boru. Śnieg skrzypiał pod butami, lśnił, raził go swoją bielą, głęboką i odległą.

Przystanął żeby odsapnąć. Zapalił papierosa. Oczyma znalazł dolinę torfowisk, skutą teraz lodem i dostępną. Latem o rosie kosił na jej krańcach trawę, suszył ją i układał w kopki. Kiedyś było tam jezioro pełne ryb, porośnięte przy brzegach trzcina. Teraz wszystko zarosło, wyschło. Własnym oczom jednak nie wierzył, tkwił przy swoim wspomnieniu, nie uznawał faktu, że pozostaje w tyle za pędzącym czasem. Zebrał się w sobie, tak jak wtedy, w ten wrześnieowy poranek, gdy wśród pożółkłych traw i trzcin, powleczonych mgłą, ujrzał rannego byka, który przechytrzył myśliwych. Uciekł z kotła i sapał ciężko, ukrywając się między świerkami.

Ruszył dalej. Te drzewa ze śniegiem na wierzchołkach były mu bliskie, choć tajemnicze. Znał do głębi ten las, wszystkie ścieżki, wnętrza zaczarowane.

Przyjadą, napali w piecu, znowu będą razem. Czekał długo na tę chwilę. Znajdzie drzewko wysmukłe, zielone. Przyglądał się świerkom zakłętym w baśniowe kształty nad strumieniem, sosnom wysokim, objętym kępami świerkowego podszycia. Przeciął trop sznurującego lisa, widoczny wyraźnie na śnieżnym puchu. Dalej, gdzie strumień odbiega pod urwiste brzegi, ujrzał szlak wyznaczony przez watahę dzików. Przeszły tędy minionej nocy do młodziaków i pól.

W głębokim parowie znalazł drzewko świerkowe. Otrząsnął je ze śniegu. Wyprostowały się symetrycznie ułożone gałązki. Uciął je nisko u pnia. Położył na śniegu. Oplótł rzemieniem. Jak w każdy zimowy dzień mrok gęstniał niedostrzegalnie i szybko, a w nim leżał czarna plama las. Przyspieszył kroku. Strumień szumiał, gawędził w kaskadach. Wysoko w czystym, mroźnym powietrzu zapaliły się gwiazdy. Coraz więcej ich przybywało. Z zachodu wlokła się mgła wróżąc mroźną noc.

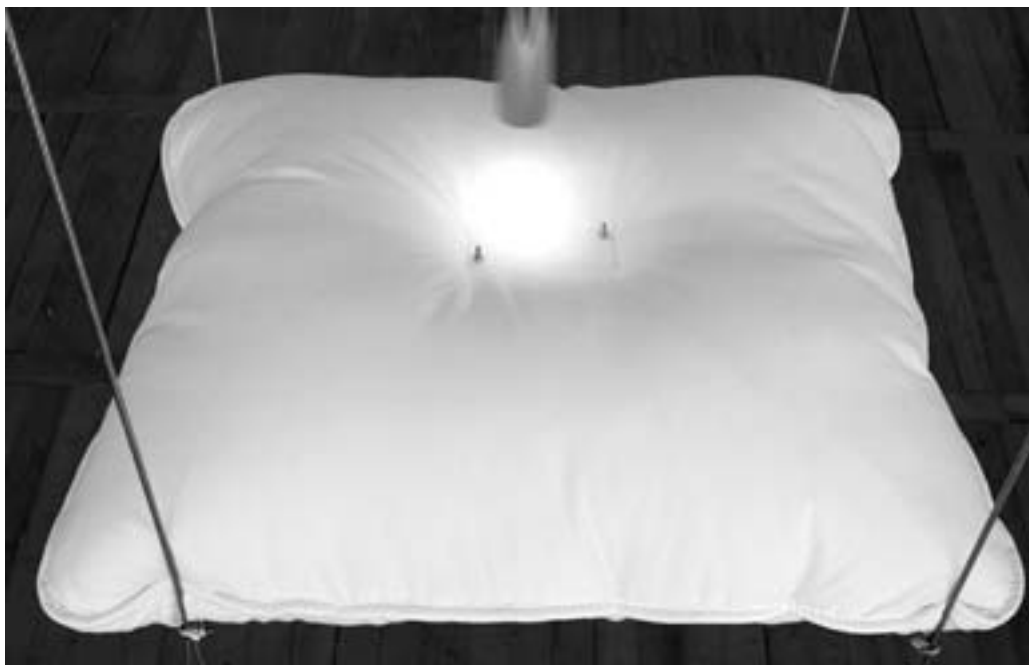
Tak chciał być z nimi, w domu, razem. Rozpierzchli się po świecie. Pobędą chociaż kilka dni.

Wyszedł na pola.

Wielka sowa zapadła w kępie drzew. Wieś rozbłyskiwała światłami okien. Poszczeziwały psy, a on, stary, niesie drzewko. Ładna będzie choinka pachnąca borem. Widział na jej szczyście pełgające światełka. Uzmysłowił sobie, że to gwiazdy tak świecą. Jutro znów wszędzie słońce, za lasem wciśniętym w zakole rzeki. Ale najważniejsze, że oni tu do domu przyjadą, i znowu będą razem, jak kiedyś.

# Kleń

Siedzę wtopiony w zieleń, różne jej odcienie. Wśród traw, krzewów, olch i buków. Buczyna tu wiekowa. Wspiną się po stoku, tam gdzie jest leśna szkółka, a za nią bór mieszany i kępa jodeł. W dziupli nieopodal zamieszkał rój pszczół. Pracują. Rzeka tu wlewa się przewężeniem po kamienisto-żwirowatym dnie. Pod drugim brzegiem rwie głębszym nurtem, a tu, gdzie jestem, tworzy się mini zatoczka z prądem wstecznym. Podsypałem kostek z gotowanych w mundurkach ziemniaków. Zarzuciłem wędkę. Czekam. Ani mru mru. Koziołek ociera poroże o młody podrost buka. Zakamuflowałem się tak, że nawet mnie nie wyczuł. Tracze nurogęsi prowadzą swoje młode w górę rzeki. Zaczajony jestem jak Indianin. Głębocek, to półtora metra czystej jak kryształ wody. Siedzę jak mysz pod miotłą, bo inaczej wszystko bez sensu. Słoneczny blask wlewa się przez korony drzew i widać całość jak na dłoni. Ryby wpływają do zatoczki z nurtu, gdzie czują się bezpieczniej. Zauważam parę klonków, takich po dwadzieścia pięć centymetrów długości. Przemierzają zatoczkę wolniutko jakby patrolowały teren. Znikają. Pojawiają się znowu. Odpływają. Wiem, że muszę tak trwać. Bo każdy nieopatrzny ruch, cień rzucony na wodę, to przegrana. Wtedy nadpłynął ten większy. Sam. Majestatycznie. Kładzie się na boku. Czujnie podpatruje. Płochliwy. Znika w rwącym nurcie. Muszę siedzieć murem. I wreszcie jest. Dwukilogramowy. Z końca zatoczki. Schodzi w dół, gdzie na haczyku kostka ziemniaka. Porusza wargami, smakuje, połyka i rusza w nurt. Zacinam. Kotłowanina w bryzgach wody. Mam go, wyrzucam na brzeg. Pięknie wybarwiony. Płetwy. Kto łowił te ryby, ten wie. W tym kleniu wszystkie odcienie lata, kiedy niosę go ścieżką przez las. W łuskach srebro rzeki przeblyskującej przez listowie. W dolinie.



### Mach´s doch

Immer zieht´s mich zu den  
Dreckjobs hin:  
Ins Nasse, ins Kalte, ins Dunkle.  
Dort treff ich dann die Dreckskerle,  
Wir sind treffliche Brüder.

Im Dunklen fühlen wir die Schwärze.  
Im Kalten kommt uns der Schmerz.  
Im Nassen gleiten wir weg,  
Bis nach Bombay, wo wir  
Die Tanker zerlegen,  
Mit bloßen Händen.  
(Du kommunistischer Knochen)  
An Stricken den Schweißbrenner  
In der Schrottmühle für die alte  
Und neue Welt.

Ein bißchen sozial-smooth  
Sagt der Drummer  
Und tracktiert die Becken,  
Der Trommelschule, in der  
Wir wieder das Hopsen lernen  
Von dem weißen Neger  
Mit dem Mangel an Pigment.

Habe mich entkernt !  
Langsam sage ich mir noch  
Der Job:  
Immer ziehst mich zu dem  
Job,  
Zu den Brüdern,  
Zu den Jobbrüdern.

Halte den Engel im Würgegriff,  
Mir zu gestatten,  
Eine irdische Existenz.  
Vorstrafen?  
Vorstrafen keine!

### Zrób to

Wciąż ciągnie mnie do  
Brudnej roboty  
W wilgoć, chłód, ciemność  
Spotykam tam gnojków  
Z którymi jestem za pan brat.

W ciemności ogarnia nas czerń.  
W chłodzie dopada ból.  
W wilgoci ślizgamy się w dal.  
Aż do Bombaju, gdzie  
Demontujemy tankowiec  
Gołymi rękoma  
(Ty komunistyczny szkielecie)  
Palnikami bawimy się w dzierganie  
W młynie pełnym złomu starego  
I nowego świata.

Potańczmy troszkę  
Mówi perkusista  
I uderza w talerz,  
Szkłoły bębniarzy, gdzie  
Biały murzyn  
Któremu zabrakło pigmentu  
Znow uczy nas podskakiwać.

W środku jestem pusty!  
Powoli mówię sobie jeszcze  
robotą:  
Wciąż ciągnie mnie do  
Tej roboty,  
Do tych, z którymi za pan brat,  
Do tych, z którymi tam za pan brat.

Trzymam anioła w śmiertelnym uścisku,  
Pozwalam sobie,  
Taki doczesny byt.  
Karany?  
Nie, nie karany!

**Stand by, Yogi**

Kommt die Liebe den Berg herunter  
Sitz ich am Fuße  
Und warte auf sie.

Steige nicht hinauf  
In die dünne Luft der Höhe  
Sie zu erobern.

Ein Talgestürzter ist geheilt  
Von der Sucht nach schwindelnder Höhe  
Räusche kommen als Lawine ins Tal.

Bewege dich nicht  
Was du brauchst  
Kommt vorbei.

Stand by, Yogi

**Bądź czujny Yogi**

Stacza się z góry miłość  
Ja siedzę u stóp  
Czekam

Nie wspinam się  
W rzadkie powietrze na wysokościach  
By ją zdobyć

Jeden podszyty zwierzem uleczony  
Z chorobliwych skłonności do wysokich  
złudzeń  
Upojenia schodzą w dół jak lawiny.

Nie ruszaj się  
To czego szukasz  
Zdarza się tuż obok

Bądź czujny, Yogi



## Adam Wojciech Bagiński

Urodził się w 1940 roku w Toruniu. W latach 1961-66 studiował na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, uzyskując dyplom w pracowni prof. Stanisława Borysowskiego. W 1967 r. związał się z Zieloną Górą, gdzie mieszka do dziś. W twórczości artysty dominuje malarstwo olejne i akwarele. Tworzy także obiekty i instalacje.

### Wystawy indywidualne

Swe prace eksponował na 32 wystawach indywidualnych w galeriach, muzeach, salach wystawowych w kraju i za granicą, m.in. Zielona Góra (1969, 1978, 1981, 1984, 1987, 1989, 1993, 1997, 1999, 2000); Niemcy – Achim (1991); Kraków 1992; Niemcy – Verden (Rathaus) 1992, 1995; Niemcy – Ulcen (Heimatmuseum) 1993; Łława 1994; Niemcy - Zeven (Galerie im Ratskeller) 1995; Niemcy – Bremen (Janusz Korczak Haus) 1995; Niemcy Cottbus (Wendischer Museum) 1996 (wystawa podczas Targów „Kraje i regiony świata”); Paryż 1996; Austria- Ried in Inkreis 1996; Sulechów – Galeria 24 1997; Gubin – Galeria Ratusz 2000; Sulęcın 2001; Gorzów 2002, Kożuchów (Galeria Zamkowa) 2005

### Zrealizowane obiekty i instalacje

1991 – instalacja plastyczna w otwartej przestrzeni z okazji Dni Zielonej Góry; 1992 – realizacja obiektów i działania plastyczne do spektaklu pt. „Cień” (sala Arlekin – WiMBP Zielona Góra); 1995 - realizacja pt. „Zmienność” III Europa Biennale Niederlausitz (Pritzen, Niemcy); udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą

### Uczestniczył w ok. 80 wystawach, m.in.:

Zielona Góra BWA Salony Jesienne (1971-1983, 2003-2005); Warszawa „Zachęta – Ogólnopolska Wystawa Marynistyczna „Barwy Morza” (1981); Zielona Góra „Złote Grono” 1981; Heidelberg 1983; Elbląg Galeria L 1985, 1988; Poznań – INTERART 1986, 1987; Lublin – Triennale Akwareli 1990, 1993, 1996; Matera (Włochy) Międzynarodowy Konkurs Malarstwa 1990-1991; Lipsk 1994, Zeven Galerie im Ratskeller 1996, Bydgoszcz BWA „Aqua Fontis Vitae” 1999, Bruksela – siedziba UE 2000; wystawy poplenerowe: Rzeszów BWA, Lwów Muzeum, Łańcut 2005

## Leszek Kania

# Jubileusz malarza

Przyjaciele i miłośnicy twórczości Adama Bagińskiego tłumnie przybyli na październikowy wernisaż artysty zorganizowany w salonie wystawowym zielonogórskiej biblioteki. To z pewnością miara popularności malarza, obchodzącego w tym roku okrągłą rocznicę 40-lecia pracy twórczej. Spodziewano się zatem dostojnej, retrospektywnej ekspozycji w muzealnym stylu. Tymczasem

jubilat zaskoczył wszystkich, rezygnując programowo z odkurzania wspomnień, na rzecz prezentacji dzieł powstałych w ostatnich latach. W sumie naliczyłem około sześćdziesięciu prac. Wyjątek stanowił jedynie wizerunek małżonki autora, namalowany bodajże w 1986 roku, antycypujący w znacznym stopniu jej obecny wygląd, co potwierdziło wielu wernisażowych gości. Trzeba przyznać,

że wystawa sprawiała wrażenie bardzo spójnej w odniesieniu do tematu i ogólnej atmosfery poszczególnych przedstawień. Oprócz kilku portretów, w zdecydowanej większości były to pejzaże, stanowiące od początku główny przedmiot jego malarskich zainteresowań. Bagiński z determinacją i godnym podziwu uporem wielokrotnie powraca do tego motywu, analizując krajobraz na rozmaite sposoby. Głównie za pomocą farb olejnych i akwareli, którymi posługuje się nadzwyczaj biegle, osiągając własny, łatwo rozpoznawalny „charakter pisma”. Najnowsze obrazy wydają się na pierwszy rzut oka „ładne” i „estetyczne” w potocznym i pozytywnym znaczeniu tych słów. Nie jest to jednakże estetyka w rozumieniu galanterii malarskiej, kojarzonej z typowymi „landszafkami” zalegającymi w galeriach.

Adam Bagiński w swoich poszukiwaniach i sposobie pracy przypomina mi dalekowschodnich mistrzów pędzla, dla których malowanie obrazów nie było wyłącznie sposobem komunikacji, ale przede wszystkim rodzajem automedytacji mającej na celu uzewnętrznienie artystycznej duszy. Sens tworzenia oddają dobitnie słowa samego malarza, zapisującego od pewnego czasu własne myśli : *„Malarstwo jest dla mnie formą rozmowy z samym sobą, wyrazem kondycji psychicznej, próbą przekazu różnych stanów emocjonalnych wyrażonych w formie i kolorze. To forma poznawania siebie i świata, która daje mi możliwość dzielenia się swoimi przeżyciami z odbiorcą”*. Twórczość ta wynika niewątpliwie z fascynacji naturą, stanowiąc syntetyczną rejestrację zauważonych zjawisk. Nie polega na dosłownym powtarzaniu, kopiowaniu lub odtwarzaniu obserwowanej rzeczywistości. Nie jest też do końca abstrakcją. To raczej poetycka relacja, impresja. Twórczy dialog z naturą, która w swojej istocie jest dynamiczna i zmienna. Przyjęta przez malarza koncepcja ma swoją genealogię w sztuce wielkich pejzażystów, przede wszystkim Williama Turnera i Claude’a Moneta, którzy jako pierwsi potrafili zanotować na płótnie efemeryczne i ulotne zjawiska atmosferyczne. Wpływy te są czytelne, lecz nie wynikają z chęci naśladownictwa. Dominująca jest tu bowiem szczerłość i autentyczność wypowiedzi, poparta indywidualną, wypracowaną przez lata formą. Najistotniejszą funkcję w tym malarstwie

pełni kolor. On buduje przestrzeń, określa specyficzną aurę oraz temperaturę emocjonalną poszczególnych kompozycji. Artysta maluje przeważnie z pamięci, w zaciszu pracowni, korzystając z akwarelowych szkiców wykonywanych bezpośrednio w plenerze. Przedstawia zapamiętane widoki lub fragmenty krajobrazu w postaci barwnych smug i plam. Stosuje różne tonacje kolorystyczne, zarówno „cieple” jak i „zimne”, w zależności od przedstawianego motywu. Stara się utrzymać obraz w ograniczonej gamie barwnej, która narzuca atmosferę i nie zakłóca rysunku formy. Poprzez odpowiednie zestawienia i grę kontrastów sugeruje określone kształty podpatrzone w przyrodzie. Kolejne warstwy laserunków i przemalowań układają się w pulsujące płaszczyzny kolorów przywołujące skojarzenia z niebem, ziemią czy roślinnością. Materialność użytej farby z widocznymi śladami pędzla tworzy ekspresyjny żywioł pełen powietrza i światła. W rozedrganej, wibrującej materii tych obrazów widz bez trudu może doszukać się pierzastych chmur, refleksów słońca na wodzie czy rozległych obszarów łąk i lasów. Odnajdzie też liczne panoramy Zielonej Góry, uchwycone w różnych porach roku. Jest to oczywiście przetworzona, własna wizja świata. Na tyle jednak sugestywna i przekonująca, że prowokuje odbiorcę do głębszych refleksji związanych z postrzeganiem i odczuwaniem natury.

Bagiński w motywach pejzażowych odnajduje pierwiastki metafizyczne. W zwyczajnych wydawałoby się elementach krajobrazu widzi harmonię i porządek kosmiczny. Dostrzega w nich fundamentalne prawdy związane z sensem istnienia – tajemnicę życia, jego przemijanie i ponowne odradzanie. Należy więc zauważyć, że ów transcendentny aspekt poszukiwań malarza przekłada się na swoistą energetyczność realizowanych przez niego prac. Nieżyjąca już znakomita wrocławska poetka, Marianna Bocian, pisząc kiedyś o jego obrazach trafnie zauważyła, iż odśpiewał on i wizualizuje „duchową istotę Jestestwa człowieka, która nie została zabita w naszej teraźniejszości”. Niewielu współczesnych artystów posiada ten rodzaj wrażliwości. Dlatego też postawa zielonogórskiego malarza cierpliwie i konsekwentnie podążającego wytyczoną przed laty twórczą drogą musi budzić uznanie.

## Szukając siebie. Malarstwo Adama W. Bagińskiego

Malarstwo pejzażowe liczy sobie więcej niż kilka stuleci. W wiekach średnich i epoce Renesansu pozostawało tłem dla postaci świętych lub możnowładców. Było zaledwie tłem, chociaż dziś trudno sobie wyobrazić Mona Lisę lub Dürera zamkniętych w czterech ścianach. Niderlandzcy mistrzowie pędzla uczynili zeń równorzędnego bohatera płócien. Oglądając dzieła Ruysdaela trudno pomniejszyć rolę krajobrazów w przepysznej szacie każdej z pór roku. Romantycy posunęli się o krok dalej i przyznali pierwszeństwo pejzażom. I tak Caspar David Friedrich na nowo przypomniał o przemijaniu, malując małe postaci, zwrócone – nie buńczucznie bynajmniej – do widza plecami.

XX wiek ukrył pejzaż poprzez geometryzację, rozsypał na cząstki, irytując czasem konserwatywnych miłośników sztuki. Co więcej, nadał tak awangardowym wcześniej impresjonistom miano klasyków.

Co widzi człowiek współczesny, przystający dziś przed obrazami Adama W. Bagińskiego? Barwy, które frapują. Barwy, które układają się w pejzaż. Lub pejzaż przechodzący w barwy.

Miękkie kontrasty, pasażę odcieni, błękity, róże, ciepłe brązy i energetyczną zieleń. Czasem pojawi się smutek czerni, echo zbiorowych tragedii. Akwarele i oleje te (niepo)koją. Zaledwie kilkanaście płócien artysta opatrzył tytułami. Niektóre podpowiadają okolice malowniczej Ziemi Lubuskiej. Domy, ratuszowe wieże, sylwetki świątyń królują cichutko, pozwalając krajobrazowej przestrzeni grać pierwsze skrzypce. Pejzaże wyczekują pytań. Credo Adam W. Bagiński zawarł w uchwyceniu fragmentu *I zmienności*. Ona bowiem jest... stała. Tutaj prowokuje dynamicznością, wabi kolorystyką. Czekoladowy brąz przeistacza się w wydmę lub staje się sitowiem. Barwna mozaika jest tym czytelniejsza, im bardziej się od niej oddalamy. I żartuje ponownie, gdy z bliska szukamy szczegółów. Jak „Postać” z bżowego autoportretu.

Jaki jest pejzaż zielonogórzanina z Torunia? Poetycki, czarowny, szepcze sobie pan-teistycznie. Nieuchwytny. To portret Stwórcy ukrytego w przyrodzie. Mistrz nie udziela szybkich odpowiedzi. Może znajdziemy je w nas samych?